

TEMATY
TYGODNIA

- 12 Rozmowa z politologiem
Nikołajem Pietrowem
o wielkim niezrozumieniu
między Rosjanami
a Zachodem
- 15 Jacek Żakowski
Remanent po Tusku

POLITYKA

- 18 Joanna Solska **Saperski**
zawód: minister
- 21 OGLĄD I POGLĄD
Cezary Michalski **Ból**
lewicy w kraju prawicy

SPOŁECZEŃSTWO

- 24 Agnieszka Sowa
Strach przed rakiem
- 28 Joanna Podgórska
Czy można
zamknąć kościół?
- 31 Violetta Krasnowska
Policja szuka haka
na piratów drogowych
- 34 Marcin Piątek
Kłopoty mistrzów
sztuki walki
- 36 Mariusz Sepioło
Życie źle ułożone

RYNEK

- 38 Joanna Solska **Wieś broni**
się przed fiskusem
- 42 Adam Grzeszak **Amazon**
wpływa do Polski
- 46 Andrzej Łubowski
Co zmienił
kryzys sprzed 6 lat

ŚWIAT

- 48 Marek Ostrowski
WIELKA BRYTANIA
Trudny wybór Szkotów
- 51 Łukasz Wójcik
Okupy: płacić czy nie?
- 54 Jędrzej Winiecki **Telewizja**
w służbie reżimów

HISTORIA

- 56 Bogumił Luft
Jak Rumuni pomagali
w 1939 r. polskim
uchodźcom



12 Iwan, co ci się stało?



15 Pięć niedokończonych prac Tuska



80 „Miasto 44”, sklejana Warszawa



108 NA WŁASNE OCZY Wniebowzięci

- 59 Filip Gańczak
Luksemburg –
najbardziej wpływowe
państwo Europy

NAUKA

- 62 Agnieszka Krzemińska
Sympozjon, czyli
zawody przy winie
- 66 Leszek Pacholski
Uczeni coraz częściej
zamiast wiedzy
tworzą... punkty
- 69 TECHNOECHO

KULTURA

- 80 Janusz Wróblewski
„Miasto 44”:
jak odtwarzano
powstańczą Warszawę
- 83 MEA PULPA Kuby
Wojewódzkiego
- 84 Piotr Sarzyński
Mobilne dzieła sztuki
- 87 Janusz Wróblewski
„Locke”, świetne kino
jednego aktora
- 90 Dorota Szwarcman
Nowa polska szkoła
kompozytorska?

LUDZIE I STYLE

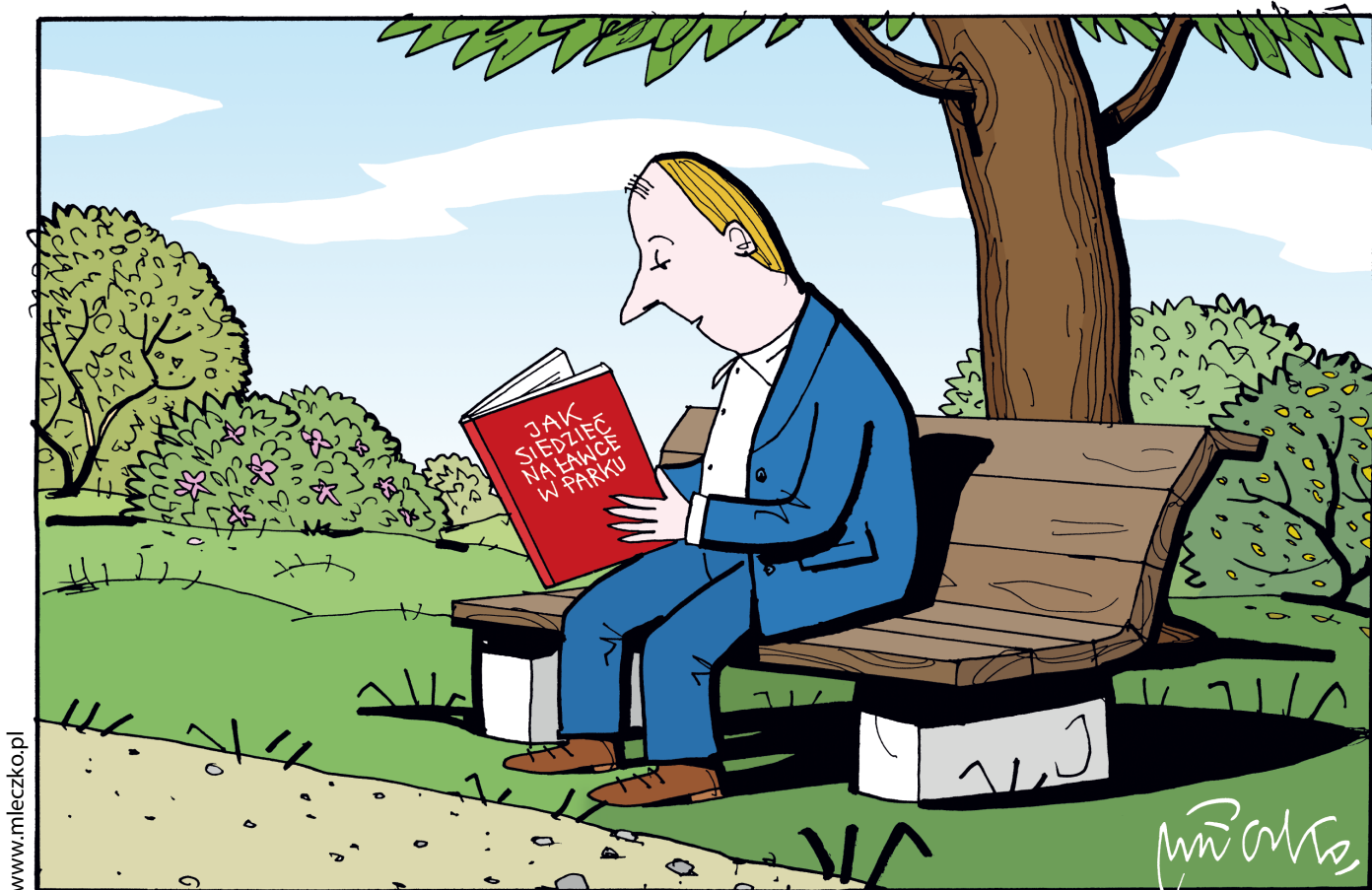
- 92 Elżbieta Turlej
Polscy beckhamowie
i beckhami
- 96 Mariusz Herma
Kulturą rządzią obrazy
- 100 Piotr Sarzyński
SA Wardęga – artysta
czy kabareciarz?
- 106 POLEMIKI Krzywe
zwierciadło Szczotka

NA WŁASNE
OCZY

- 108 Anna Kobus, fotografie
Anna i Krzysztof Kobusowie
Miłość do balonów

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 76 Afisz • 102 Passent
- 103 Tym • 104 Hartman
- 105 Do i od redakcji
- 106 Fusy, plusy i minusy
- 114 Polityka i obyczaje



z życia sfer

Stop matematyzacji nieletnich!

Musimy jako rodzice powiedzieć: Dość! Dość psucia naszych dzieci w przedszkolach i szkołach! Nie możemy się zgodzić na zmuszanie małych, niewinnych istot do tak wczesnego poznawania cyfr i liczenia. Bezpardonowa matematyzacja od najmłodszych lat prowadzi bowiem do bezwzględnej demoralizacji. Zaraża dzieci skłonnościami do liczenia pieniędzy, a nawet rozliczania nas, rodziców, z tego, co im obiecaliśmy kupić; zarazem skłania je do liczenia np. swoich i cudzych zabawek. W ten sposób zbyt wcześnie dowiadują się o nierównościach społecznych, co może skutkować niepotrzebnym stresem i przygnębieniem – przecież i tak nic nie mogą poradzić na to, że mają biedniejszych od siebie kolegów.

Pod pozorem przygotowania dzieci do dorosłego życia już w przedszkolu przemycą się umiejętności, bez których miliony dzieci na świecie doskonale się obywały i są szczęśliwe. Również miliony dorosłych świetnie dają sobie radę bez tej niezbędnej jakoby wiedzy. Wbijanie do głów małym dzieciom, które i tak muszą uczyć się literek, rów-

nocześnie także cyferek niepotrzebnie je przeciąża, co może uniemożliwiać im pełne wchłonięcie najważniejszych treści moralnych i światopoglądowych. Zmuszanie dzieci do uwierzenia, że dwa plus dwa zawsze równa się cztery, prowadzi do budzenia u nich zaniepokojenia i dysonansu poznawczego – przecież podczas zajęć z religii dowiadują się podstawowej Prawdy – że Bóg jest wszechmogący, może zmienić wszystko, nawet wynik dodawania.

Zajęcia z matematyki są także w sposób oczywisty uzależniające: dziecko raz nauczone tabliczki mnożenia już nigdy nie przestanie liczyć! Może nawet zacząć nałogowo sięgać po jakieś sudoku czy inne zabawy wywodzące się spoza naszego kręgu kulturowego. Niedopuszczalne jest narażanie naszych pociech na wykorzenienie i porzucenie tradycyjnych zabaw w wojnę czy dom wielodzietny na rzecz łamigłówek (już samo to słowo obnaża niebezpieczeństwa związane z tą aktywnością). Wiele wskazuje na to, że za wszystkim kryje się lobby forsujące naukę matematyki, które ma szerokie powiązania z biznesem produ-

kującym kalkulatory, komputery, tablety, a nawet wciąż zbyt łatwo dostępne liczydła oraz inne gadżety odrywające dzieci od walki z grzechem. Nie wolno też bagatelizować grożącego nam na szeroką skalę zjawiska drenażu mózgów, kryjącego się za tzw. wyławianiem talentów, czyli selekcyjonowaniem tych dzieci, które bez oporów ulegają matematyzacji. W ten sposób te najbardziej podatne na niewłaściwą indoktrynację stają się przedmiotem dalszego prania mózgu w celu zabrania ich potem do zagranicznych ośrodków naukowych, gdzie będą służyć mamonie i ateizacji.

Musimy natychmiast zreformować polską szkołę, jeśli nie chcemy stracić na zawsze nawet tych nielicznych dzieci, które z takim trudem spłodziliśmy i uchroniliśmy przed zwolennikami aborcji grasującymi po ulicach miast i w szpitalach położniczych. Zaczniemy od matematyki! Choć trzeba też pamiętać o podejrzanych treściach przemycanych pod etykietką biologii, geografii, żeby nie wspomnieć o historii.

REDAKTOR ZASTĘPCZY JK



WÓLCZANKA

sklep online: wolczanka.com.pl
[Kup książkę](#)

Wieżenie za wiedzę



Martyna Bunda

Mamy za sobą kolejną bitwę w wojnie o świeckie państwo: projekt ustawy przewidujący do dwóch lat więzienia za prowadzenie w szkole edukacji seksualnej. Przepadł – szczęśliwie dla rodziców. Bo w kraju, w którym zapadają wyroki skazujące matkę – jak w Lublinie – na karę więzienia za nakłanianie 15-letniej córki, ofiary gwałtu, do aborcji, dozwolonej w tym wypadku prawem, to byłaby kolejna brzytwa w rękach szalonych.

Autorzy projektu w swoim mniemaniu chcą ratować dzieci. Przerazili się oficjalnych zaleceń Światowej Organizacji Zdrowia dotyczących tego, jak z dziećmi należy rozmawiać o seksualności. A konkretnie tego, że zaleca się zacząć z cztero-latkami (według WHO – ucząc go neutralnych, nieobraźliwych nazw części ciała, by potem wiedział, o czym i jak mówić). Że już 6–9-latkami mogą dowiedzieć się, skąd się biorą dzieci i jak do tego dochodzi, a 9–12-latkami można uświadomić, że jest coś takiego jak antykoncepcja, że bliskość seksualna to sprawa między dwojgiem, na którą oboje muszą się zgodzić i jej chcieć itd. Te właśnie przykłady pomysłodawcy ustawy podali w uzasadnieniu – ku przestrodze.

Rzec w tym, że WHO nie nakazuje epatować dzieci tematyką seksualną. Zaleca, żeby im szczerze i uczciwie odpowiadać na pytania takim językiem, jaki rozumieją, oraz podpowiadać, w jakim wieku i co dzieci są zdolne zrozumieć. A szczerze i prawdziwie jest dziś w tej kwestii na wagę złota dlatego, że dzieci mogą więcej nie zapytać, poszukując sobie w internecie – przestrzega WHO. A tam znajdują rzeczy, które z pewnością wypaczą ich rozumienie, czym jest seks i do czego służy. Już tak się dzieje. Z prowadzonych w Europie badań wynika, że wśród haseł wpisywanych w internetowe wyszukiwarki przez 9-latków na jednym z pierwszych miejsc jest słowo seks, niewiele starsze dzieci wpisują już prościej: porno. I z tym zostają, jeśli brak jest sensownej przeciwwagi dla zalewu szlamu z internetu.

Aw Polsce przeciwwagi brak. Cała edukacja seksualna sędowana została na domy, które sobie nie radzą, oraz sektor pozarządowy, wpuszczany do szkół lub nie. Lekcje z seksualności i życia rodzinnego w ramach programu szkolnego prowadzą katechetki, zniechęcane przez środowisko katolickie do takich pomysłów szatana jak standardy WHO. Smutne to tym bardziej, że Polska – kraj, w którym chce się dziś edukatorów seksualnych pakować do więzienia – była kiedyś w tej kwestii w awangardzie. Konwencja o Prawach Dziecka, napisana w latach 70. w Polsce i podpisana z inspiracji Polski przez kraje Europy, przewidywała m.in., że niezbywalnym prawem dziecka jest rzetelna wiedza o planowaniu rodziny. Rzetelna, czyli także ta o własnym ciele, płodności i antykoncepcji.



Amunicja drugiej szansy

Polskie wojsko znów będzie kupowało amunicję polskiej produkcji do czołgów **Leopard**. Znów, bo już raz kupowało i stwierdziło, że nigdy więcej. Produkowana w Polsce amunicja 120 mm odłamkowo-burząca sprawiała mnóstwo kłopotów. – Czołgiści skarżyli się, że nie trzymała parametrów i trudno było precyzyjnie razić cele, bo pociski nie zawsze spadały tam, gdzie celowano – mówi Waldemar Skrzypczak, były wiceminister obrony narodowej. Problem tkwił w prochu z Pionek produkowanym na linii technologicznej z lat 20. XX w. Na takich maszynach nowoczesnej i precyzyjnej amunicji wyprodukować się po prostu nie dało. – W zakład zostały zainwestowane duże kwoty, żeby wyeliminować te problemy – mówi Grzegorz Szymański z Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

Zakład w Pionkach związany ze skarzyskim Meskiem, które wzięło na siebie postawienie na nogi upadających Pionek. Za ponad 13 mln zł zakupiono nowoczesne maszyny – prasę formującą, ugniataarkę i kralajnice do prochu. Udoskonalono również konstrukcję pocisku. Po pierwszych strzelaniach wojsko zdecydowało się dać polskiemu przemysłowi jeszcze jedną szansę. – Niemcy robią amunicję, która naszą bije na głowę. Ale jeśli nie damy polskiemu przemysłowi zamówień, to nigdy nie będziemy mieli własnej technologii. Na tych pociskach spokojnie można się szkolić – mówi proszący o zachowanie anonimowości wojskowy. Wojsko zamówiło aż 15 tys. pocisków odłamkowo-burzących. Jednak żeby kontrakt mógł być zrealizowany, PGZ musiała wesprzeć Mesko dodatkową kwotą 17 mln zł kredytu na zakup materiałów do realizacji kontraktu wartego 105 mln zł.

Amunicja to nie wszystko. Prawie 150 z 247 leopardów wymaga szybkiej modernizacji. Wzmocnić trzeba ich pancerze, ale przede wszystkim unowocześnić system kierowania ogniem, przyrządy obserwacyjne i celownicze. Poprawić stabilizację wieży. No i założyć klimatyzację, bo w nowoczesnych wozach jest już standardem. Umowa miała zostać ratyfikowana jeszcze w tym roku. Ale nic nie wskazuje, żeby to się udało. – Polskie firmy najpierw stoczyły ze sobą wojnę podjazdową o ten kontrakt. A na koniec okazało się, że zwycięzca nie jest w stanie sobie z tym poradzić. To jakiś koszmar – dodaje wojskowy zajmujący się tymi kontraktami. (JUL)

Jan Koza



© JAN KOZA

Czy ona wygląda na Tuska?

W 25 rocznicę powołania rządu Tadeusza Mazowieckiego świętowano u prezydenta i u premiera. W kancelarii szefa rządu odstonięto popiersie pierwszego niekomunistycznego szefa rządu, większość byłych premierów podjęta została obiadem (niektórzy tradycyjnie nie przyszli) przez premiera Donalda Tuska. Debatowano w różnych gremiach o współczesnych polskich sprawach, a wieczorem na spotkaniu w Pałacu Prezydenckim po prostu gadano i wspomniano dawne czasy. Bez politycznych podziałów, w miłym, przyjacielskim nastroju i w poczuciu, że jednak kawał solidnej roboty w Polsce został wykonany.

Tydzień wolności przeżyli też media. Czas między dymisją starego a powołaniem nowego rządu to okres wyjątkowy: wszystkie spekulacje dozwolone. Jak to celnie ujął Jacek Rostowski: ci, którzy wiedzą, nie mówią, a ci, którzy nie wiedzą, mówią. Grono tych, którzy wiedzą, jest od pewnego czasu wyjątkowo szczelne, o czym przekonaliśmy się, gdy jak grom z jasnego nieba spadła informacja, że premier Tusk jednak wybiera się do Brukseli. Tym więcej zatem wolności w spekulowaniu, a także w zgłaszaniu się do rządu.

Ogólny wynik spekulacji jest taki, że mamy przynajmniej trzech kandydatów na stanowisko marszałka Sejmu. Na tej liście Cezary Grabarczyk widnieje niejako z urzędu, bo jest wicemarszałkiem i wspiera przyszłą panią premier. Rafałowi Grupińskiemu podobno obiecał tę funkcję premier, ale biorąc pod uwagę, ile osób chodzi i mówi, że Donald Tusk obiecał im stanowiska (można by złożyć dwa rządy), nic nie jest pewne. Radosławowi Sikorskiemu zaproponowała to podobno Ewa Kopacz. W kwestii ministrów też mamy spore zamieszanie. Wicemarszałek Grabarczyk, oprócz posady marszałka, przymierzany był do funkcji ministra sprawiedliwości, a może nawet spraw wewnętrznych i dodatkowo pasowano go na wicepremiera. Niewiele ustępował mu Radosław Sikorski, który medialnie przemieszczał się między kierowaniem MSZ a fotelem marszałkowskim w Sejmie, albo pozostając szefem od spraw zagranicznych, miałby zostać wicepremierem.

Do góry, czyli do stanowiska wicepremiera, typowany był także szef MON Tomasz Siemoniak. Miałoby to zadowolić prezydenta, który jest bardzo za Siemoniakiem i podobno zdecydowanie mniej za Sikorskim. Pojawiła się też próba przesadzenia Jacka Rostowskiego z fotela sejmowego na stanowisko szefa MSZ. Marek Biernacki kursował między sprawiedliwością a sprawami wewnętrznymi, ostatnio jednak



przestał już kursować gdziekolwiek. Bartłomiej Sienkiewicz skazany od dawna na polityczny niebyt, zwłaszcza przez ludowców i sporą część środowiska dziennikarskiego, odnajdywał się nagle na posadzie szefa doradców pani premier. W polityczny niebyt odesłano oczywiście Bartosza Arłukowicza; trwały także przymiarki do odesłania tam ministra finansów Mateusza Szczurka, choć nie bardzo wiadomo dlaczego. Podobno zawiódł Tusk. Ale przecież to nie były premier tworzy ten gabinet, lecz pani premier Ewa Kopacz.

Jest jeszcze jeden kierunek spekulowanych przemieszczeń – do Brukseli. Tam wraz z premierem wysłano już Pawła Grasia, Igora Ostachowicza, Piotra Serafina (rzeczywiście pojedzie i zapewne zastąpi go Rafał Trzaskowski, co byłoby wyborem wyjątkowo trafnym) i jeszcze kilka innych osób z najbliższego otoczenia, mimo że aż tylu posad dla nich nie ma. Przed emigracją uratował się, czy też raczej uratowała go nowa pani premier, szef Kancelarii Premiera Marek Cichocki. Przymierzano go jednak do MSW, czyli też znalazł się w gronie objętych rotacjami.

Oczywiście rotacje są różnej wagi. Waga Sikorskiego jest duża, ale ta najcięższa obejmuje przede wszystkim Grzegorza Schetynę, który nie ukrywa, że najchętniej przemiesciłby się na miejsce Tuska, najpierw w partii, a potem siłą rzeczy w rządzie. I to jak najszybciej, tuż po wyborach samorządowych.

Schetyna należy do tych, którzy do najwyższych stanowisk zgłosili się sami, choć i jego zgłaszano, oczywiście tylko na funkcje poważne: szefa MSW lub infrastruktury (gdzie o kandydatach cicho, bo jakoś nikt do spadku po Elżbiecie Bieńkowskiej się nie spieszy). Intensywność poszukiwania miejsca dla Schetyny była tak duża (a właściwie jest już od dawna, bo przecież pytanie „Co dalej ze Schetyną?” nieustannie wisi nad polską polityką), że wydawało się, iż za moment podzieli on los Kazimierza Marcinkiewicza, któremu ongiś cała Polska szukała roboty. Szczęśliwie sam zainteresowany chyba zdał sobie z tego sprawę, bo ostatnio postawił na „kierownictwo

zespołowe” w PO i zapowiedział, że jeśli jakieś rządowe stanowisko zostanie mu zaproponowane, sprawę rozpatrzy. Jest wszakże jedna zagadka – co oznacza „kierownictwo zespołowe”? Normalnie to ci, którzy pełnią najwyższe funkcje partyjne i państwowe (premier, marszałek Sejmu, szef partii), rzecz w tym, że akurat Schetyna do żadnego takiego grona nie należy, bo wszystko poprzegrywał.

Nic nie jest więc przesądzone, choć według wypowiedzi wicepremiera Janusza Piechocińskiego zmiany w rządzie będą tak głębokie, że zostaniemy zaskoczeni. Ponieważ wicepremier swoich ludowych ministrów nie zmienia, powinniśmy oczekiwać trzęsienia ziemi w szeregach Platformy. Sama pani premier, indagowana na ten temat, stwierdziła, że największa zmiana to ona sama. „Czy ja wyglądam na Tuska?” – zapytała, i to jest najślynniejsze wypowiedziane przez nią dotychczas zdanie.

Nie, Ewa Kopacz stanowczo nie wygląda na Tuska. W przyszłości to się może oczywiście zmienić. Największa partia opozycyjna ustala bowiem dopiero strategię reagowania na wybór Tuska na szefa Rady Europejskiej. Po wdzięcznym bon mocie prezesa: „A niechże go sobie zabiorą”, pojawiły się wypowiedzi wyznaczające nieco inny kierunek i to od razu wagi ciężkiej – dezercja. Wojna na granicach, a Tusk ucieka na „średnio ważne” stanowisko do Brukseli. W połączeniu z niezliczonymi rozważaniami, ileż to tej kasy zarobi, sprawa staje się poważna. Znow kwalifikuje się przynajmniej na uwieszenie, czyli Tusk się jednak nie wywinie, tym bardziej że PiS zrobi audyt jego rządzenia. Treść audytu musi pokrywać się z tym, co prezes wcześniej mówił o najgorszym rządzie, bo przecież nie można dezawuować wcześniejszych ocen prezesa. Jeśli zaś idzie o Ewę Kopacz i rząd, to prezes też nie ma złudzeń – to będzie rząd zużytych twarzy nastawionych na walkę z PiS. Twarze zużyte mocno się do siebie upodabniają, a więc być może niedługo okaże się, że Ewa Kopacz jednak wygląda na Tuska.

W każdym krajobrazie potrzebne są punkty stałe. Takim punktem okazał się ostatnio prezydent, który niewątpliwie miał dobre dni. Najpierw szczyt NATO, gdzie jednak zwrócono uwagę na wschód Europy, potem bardzo ważne wystąpienie w Bundestagu, wreszcie płynne przekazywanie władzy nowej ekipie w kraju, choć zanosilo się na jakiś dziwny proces „konsultacji ze wszystkimi siłami politycznymi”. Nie ma wątpliwości, że rola prezydenta rośnie, oby tylko jednocześnie nie urosło zbyt w siłę lobby wojskowe, bo szcęk oręża słyhać coraz głośniej. Wcale nie dlatego, że jesteśmy na skraju wojny, ale że tworzy się klimat nieustannego zagrożenia, czego ubiegłotygodniowa histeria z gazem od Rosji była najlepszym przykładem.